

Tragedia „dyplomatołków”

16 lutego 2019

Ręka dosłownie usycha, kiedy siadając do komputera trzeba podeprzeć się cytatem z Władysława Bartoszewskiego, ale w kontekście obecnej polityki zagranicznej trudno nie przypomnieć słów samozwańczego profesora z czasów pierwszych rządów Prawa i Sprawiedliwości. „Dyplomatołki” postawiły nas bowiem w sytuacji totalnego braku jakiegokolwiek alternatywy na arenie międzynarodowej, w zamian dostając wezwania do zapłaty za „współudział w Holokauście” i mgliste obietnice stacjonowania w naszym kraju większej ilości wojsk amerykańskich.

Zakończona wczoraj konferencja bliskowschodnia w Warszawie powinna stać się symbolem nieudolności obecnej władzy. Zanim bowiem jeszcze na dobre się rozpoczęła, usłyszeliśmy z ust amerykańskiego sekretarza stanu Mike Pompeo, że powinniśmy jak najszybciej odpowiedzieć pozytywnie na żydowskie roszczenia majątkowe. Potem było natomiast jeszcze gorzej, ponieważ wbrew zapowiedziom rządu PiS-u szczyt miał rzeczywiście antyirański wymiar, natomiast na zakończenie swojej wizyty w Polsce popis dał izraelski premier Benjamin Netanjahu, który wprost zrzucił współodpowiedzialność za Holokaust właśnie na nasz naród.

Po co nam wojna?

Zażenowanie mogła budzić już sama forma poinformowania opinii publicznej o planowanym szczycie. Dowiedzieliśmy się o nim tak naprawdę z amerykańskich i izraelskich mediów, które cytowały wypowiedź Pompeo dla jednej ze stacji telewizyjnych. Bardzo szybko na te doniesienia zareagował Iran, wprost mówiący o zbliżającym się „antyirańskim cyrku” i żądający wyjaśnień od polskich dyplomatów. Ci zaczęli więc przekonywać, że spotkanie tak naprawdę nie będzie wymierzone w Iran, lecz zostanie poświęcone ogólnej sytuacji na Bliskim Wschodzie, w co mogli

uwierzyć tylko nieliczni naiwniacy. Ameryka od czasu objęcia władzy przez Donalda Trumpa posługuje się jednoznacznie agresywną retoryką wobec Persów, natomiast już pierwsze wypowiedzi Pompeo oraz Netanjahu jasno wskazywały na prawdziwy wydzwięk warszawskiego szczytu.

Komicznie brzmią więc teraz zapowiedzi ministra spraw zagranicznych Jacka Czaputowicza czy prezydenckiego ministra Krzysztofa Szczerskiego, którzy starali się przekonywać do podobnych bajek także ambasadora Iranu w Polsce, a także wysłali wiceministra Macieja Langa do Teheranu, aby ratował poprawne relacje z Iranem. Ostatecznie cała retoryka PiS-owskiej władzy została „zmasakrowana” już w polskiej stolicy, gdzie Netanjahu wprost nawoływał do wojny, a wtórował mu amerykański wiceprezydent Mike Pence dokładający jeszcze standardowe brednie o „nowym Holokauście” planowanym przez Irańczyków.

Atmosfera konferencji przypominała więc przeddzień wojny z Irakiem, kiedy administracja George'a Busha posługiwała się podobnymi chwytami propagandowymi. Nie obyło się przy tym bez wątków komicznych, ponieważ zastępca Trumpa oskarżał Iran o bycie „autokratycznym reżimem”, gdy przysłuchiwali się mu dyplomaci reprezentujący arabskie monarchie absolutne. Do dzisiaj nie wiemy jednak, jakie rzeczywiste korzyści będziemy mieli z ugoszczenia szczytu, podczas którego padło wiele niepokojących zapowiedzi mogących doprowadzić do jeszcze większej destabilizacji regionu. Nie można mieć jednak wątpliwości, że tak naprawdę nie uzyskamy z niej żadnych korzyści, tak jak nie otrzymaliśmy nic za udział w niedotyczących nas konfliktach w Iraku i Afganistanie.

Niepewne wojsko

Według rządzących podobne wydarzenia rzekomo umacniają nasz „strategiczny sojusz” ze Stanami Zjednoczonymi, nie wspominając już o Izraelu. Problem polega jednak na tym, że

jest to sojusz tylko jednostronny. W zamian za wspieranie Amerykanów nie dostaliśmy bowiem jeszcze nic, ponieważ trudno mówić o profitach w kontekście zawieranych od dawna umów zbrojeniowych. W ich ramach nie tylko nie otrzymujemy offsetu, zdolności do serwisowania używanego sprzętu, nie wspominając już o dostępie do technologii, lecz dodatkowo zamawiamy amerykański sprzęt z pominięciem procedur przetargowych. Najbardziej cierpią przy tym dogorywające polskie zakłady zbrojeniowe, które miały być rzekomo odbudowane przez rząd, ale jak widać ostatecznie nie mają szans na konkurowanie z Wujem Samem.

Dodatkowo Waszyngton nie sprzedaje Warszawie oczekiwanego przez nią sprzętu, udostępniając nam jedynie to co uważa za stosowne. Minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak ogłaszając więc „sukces” w postaci zakupu dywizji systemu rakietowego Himars nie napomknął więc, że tak naprawdę dopiero będziemy musieli wyszkolić personel mogący go obsługiwać, a sam sprzęt z powodu konieczności używania amerykańskiego systemu nie jest kompatybilny z używanym przez polskie wojsko systemem kierowania ogniem Topaz. Ponadto nie wiadomo jakie cele odległe o blisko 300 kilometrów będziemy mogli tym zakupem razić – nie mamy bowiem takich możliwości rozpoznania, zaś dodatkowo kilkadziesiąt pocisków może starczyć jedynie na jedną salwę.

W sytuacji w jakiej znalazło się Wojsko Polskie, operujące coraz bardziej przestarzałym sprzętem, jedyną nadzieją PiS-u w razie ewentualnego konfliktu z Rosją pozostają amerykańscy żołnierze. Stacjonowanie w naszym kraju obcego wojska, jak się niedawno okazało dostarczającego nowych zadań naszej prokuraturze, jest oczywiście sytuacją skandaliczną, lecz rządzący w tej sprawie zachowują się jak najbardziej twardogłowi doktrynerzy. Problem w tym, że nawet w tej sprawie polska dyplomacja nie osiągnęła oczekiwanych przez siebie rezultatów, bez względu na propagandę sukcesu jaką wciąż sączą „Wiadomości” TVP. Amerykanie mocno ociągają się ze

wzmocnieniem swojej obecności w naszym kraju, dlatego można domniemywać, iż tak naprawdę nie jest ona im szczególnie potrzebna. Gdyby Waszyngton rzeczywiście tak bardzo poczuwał się do ochrony własnych „sojuszników”, z pewnością sam namawiałby Warszawę do przyjęcia jeszcze większego kontyngentu swoich wojskowych i sam budowałyby potrzebną do tego infrastrukturę – tymczasem drogi dla Amerykanów będą budowane za pieniądze MON-u, które moglibyśmy wydać choćby na modernizację czołgów.

Bez alternatywy

Konferencja nie przyniosła nam więc żadnych rzeczywistych korzyści, chociaż rządzący mają w tej sprawie zupełnie odmienne zdanie. Po wypowiedziach szefa MSZ-u, który nie dostrzegł nawiązywań do irańskiej tematyki w trakcie obrad szczytu, można jednak domniemywać, że już dawno PiS stracił jakikolwiek kontakt z rzeczywistością, albo w pełni uzależnił już interesy polskie od amerykańskich. Z ust polityków obozu władzy możemy więc usłyszeć, iż dzięki podobnym wydarzeniom nasz kraj staje się niezwykle ważny na arenie międzynarodowej, a ponadto bierze udział w podejmowaniu strategicznych dla świata decyzji. Obserwując dwudniową konferencję można było jednak odnieść słuszne wrażenie, że byliśmy jedynie wynajętym za darmo gospodarzem rozmów, którym ton nadawali Amerykanie i Izraelczycy cementujący swój nierozzerwalny sojusz.

Rządzący najwyraźniej nie zdają sobie sprawy, że podobne „imprezy” odbywają się na ogół w państwach uważanych w danym temacie za neutralne. Z tego powodu w ubiegłym roku szczyt z udziałem Trumpa i rosyjskiego prezydenta Władimira Putina odbył się w Helsinkach, natomiast rozmowy pokojowe na temat Syrii pomiędzy Iranem, Rosją i Turcją miały miejsce w kazachskiej Astanie – nikt w Finlandii i Kazachstanie nie mówi jednak o swoim wkładzie w bieg światowych wydarzeń. Jednocześnie słowa jakie padły w trakcie szczytu pogarszają sytuację naszego kraju w najbliższym otoczeniu. Pence nie

omieszkał bowiem grozić Unii Europejskiej za jej plany ominięcia amerykańskich sankcji, w czym biorą udział najważniejsze unijne państwa w postaci Francji i Niemiec, a także Wielkiej Brytanii, co jest najbardziej zaskakujące zważywszy na fakt jej bliskich relacji z USA. Nie trzeba nawet wspominać w tym kontekście o współpracującej z Iranem Rosji, z którą na pewno za obecnej władzy nie podejmiemy żadnego dialogu.

Staliśmy się więc państwem wyizolowanym w Europie, liczącym jedynie na naszych wątpliwych sojuszników ze Stanów Zjednoczonych, a także regularnie upokarzonym przez izraelskich polityków. Amerykanie i Izraelczycy testowali zresztą w Warszawie jak daleko mogą się posunąć, stąd rządzący przyjęli już nawet za pewnik, że Netanjahu jednak nie zarzucił Polakom współpracy z nazistowskimi Niemcami. Wystarczyło bowiem zapewnienie izraelskich służb dyplomatycznych, że podobne słowa nie padły, chociaż oficjalne dementi doniesień „Jerusalem Post” i „Haaretz” nie pojawiło się choćby na żadnych oficjalnych stronach izraelskiej Kancelarii Premiera czy tamtejszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Na tym poziomie serwilizmu wobec USA i Izraela możemy już więc jedynie oczekiwać, kiedy zacznie się „restytucja mienia żydowskiego”...

Źródło: Autonom.pl